

leg. 78.

S. P.

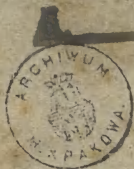
BOHATEROWIE.



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 232

KOBOS TADEUSZ



167

WARSZAWA

1920.

Bohaterstwo.

Niema wyrazu bardziej człowiekowi bliskiego, bardziej przemawiającego do jego wyobraźni, do jego uczucia, niż Bohaterstwo. Każdy z nas, kiedy był dzieckiem, pragnął być Kościuszką, Cezarem, Napoleonem. Kiedy podrastał, marzył o bohaterskich wyprawach Skrzetuskiego, spisanych znakomitem piórem autora „Ogniem i Mieczem“. Marzył o wyprawach, zapisanych na pergaminie „Popiołów“.

Zarządzałem dawnymi laty na wsi biblioteką, z której korzystali miejscowi i okoliczni włościanie. Najwięcej powodzenia miała wśród tej publiczności Trylogia Sienkiewicza. Kiedyś, zimą wracałem pod wieczór z lasu. Szedłem polem zasłanym śniegiem. Zgubiłem drogę. Zapadła noc. Kędyś opodal zobaczyłem światło. Pobrnąłem w tę stronę. Zajrzałem w okno. Przy kaganku siedział chłopiec i czytał. Opodal cała gromada mężczyzn, kobiet, dzieci. Twarze zasluchane. W oczach głębokie skupienie. Oczy chwytające jak gdyby każde słowo, płynące leniwe z ust sylabizującego lektora. Sam lektor rozplamieniony. Poznałem książkę: był to egzemplarz, zapożyczony z naszej biblioteczki. Egzemplarz Trylogii, trzykrotnie już oprawiony przez małomiasteczkowego introligatora, przez tyle bowiem rąk przechodził, taki był wy-

czytany i podarty! Zastukałem do chaty. Chłopiec wystraszony schował książkę: myśleli, że to policja! Kazałem czytać dalej. Prosili, żebym chłopca zastąpił. Siedziałem wśród nich do późnej nocy. I gdy wychodził, zdawało mi się, że z cuchnącego kaganka naftowego biją płomienie.

W ciągu kilku godzin żyłem w atmosferze utajonego, jakże żywego, jaką tęsknotą wyczekiwanego bohaterstwa! Innym razem, w innej rodzinie włościańskiej porównywano „Kordeckiego“ J. I. Kraszewskiego z „Potopem“ Sienkiewicza. Stary Kućmiński twierdził, że „Kordecki“ nic nie wart, a pan Kraszewski kiepski pisarz. „Dlaczego?“ pytałem „Bo to w „Potopie“ opowiedziane inaczej, całkiem inaczej. Człowiekowi aż ślepią z głowy wyłażą, kiedy czyta. A pan Kraszewski trzy po trzy plecie, jak baba na odpuszcie“...

— „A może to pan Sienkiewicz się pomylił“?

— „Pan Sienkiewicz nie może się pomylić. To są cuda. To jest prawda. To są bohaterzy“.

Ubiegłej zimy zapytałem u znajomych małej dziewczynki, która często wymieniała nazwisko Naczelnika: kto to jest Piłsudski?

— „To jest bohater!“ — odpowiedziała z całą powagą małej Zuzula.

Na wszystkich szczeblach kultury, w każdej porze życia, poczynając od wczesnej młodości, a niekiedy do późnej starości dowody bohaterstwa, wspomnienia bohaterstwa głębokie na człowieku czynią wrażenie. Nieraz w Paryżu u grobu Napoleona widzieć można dokładnie to głębokie wrażenie na twarzach dziesiątków ludzi prostych i wyrafinowanych, Francuzów i cudzoziemców, którzy tłumnie zbierają się u tego grobu, owianego stuletnią już i wciąż żywą legendą.

Kiedy Walerjan Łukasiński, także wielki narodowy bohater, innego już gatunku, nie taki, co z szablą w dłoni przedzierał się

przez wążów Samosterry ale taki, co samotrzeć szedł na wszechpotężnych carów i samotrzeć od spodu budował świątynię Niepodległości narodowej, katowany w Zamościu przez zbirów Konstantego, współ z towarzyszami niedoli, leżał na barłogu, czytał na głos Plutarcha. Stara to książka. Od czasu jak ludzkość zaczęła nanowo w epoce Odrodzenia czytać łacińskich autorów, od czternastego czy piętnastego stulecia, nieprzeliczone tłumy wszystkich krajów kształciły swoją młodzież szkolną, swoją inteligencję na lekturze Plutarcha.

W XVIII stuleciu, w pierwszej połowie XIX stulecia kształcili się na nim wszyscy uczący się w szkole, czy w domu, Polacy. Plutarch, który już dawno powinienby posiadać swoją polską edycję, zawiera biografie wielkich mężów starożytnej Romy i Helady. Prostym, jasnym, szlachetnym językiem opowiada Plutarch dzieje tych, co lud swój prowadzili na pole chwały, zwycięstwa czy przegranej, opowiada dzieje męstwa Leonidasów i Mucjuszów, dzieje męstwa cywilnego Katonów i Marków Aureljuszów. Polski Plutarch mógłby wypełnić taką samą ilość tomików: Kościuszko i Chodkiewicz. Żółkiewski i Pułaski, Traugutt i Montwiłł. Miński, Emilja Plater, tylu innych z dawnych i najbliższych czasów. Przed oczyma czytelnika przesunęły się niezliczone postacie wielkich budowniczych Państwa polskiego w dobie chwały i w dobie upadku, obrońcy honoru i rycerze sumienia narodowego: szlachci-ce, chłopci, robotnicy, katolicy, protestanci i żydzi, bogacze i biedacy, czoło narodu i zapomniani bohaterowie tłumu. Marzyłem kiedyś o napisaniu takiej książki. Wielkiego ona wymaga talentu, wielkiego skupienia. Musi to być książka prosta i szczerą. Wolna od taniego patosu i wszystkich pióropuszków. Książka, co prowadzi na szczyty najwyższej ofiary bez przesady i jubileuszowego kłamliwego bełkotu. Książka, która z duszy bohatera wydobywa wszystko, co w niej było wielkiego i czystego, odrzucając

precz wszystko, co było przypadkowością i przystosowaniem. Książka ta opiewać będzie życie nie tylko bohatera w mundurze. Półtora wieku niewoli naszej stworzyło u nas całą galerję bohaterów cywilnych: agitatorów; pocieszycieli i nauczycieli. Byłaby to historia polskiego więzienia za panowania carów i kajzerów, historia spisków i cytadel, historia wszystkich bojówek, całego pogotowia bojowego dla walki z żandarmem carskim, ze zdradą we własnem otoczeniu, z obojętnością i oportunizmem ogółu. Historia wolnego człowieka, zatopionego w morzu niewolników i ten ogół wyzwajającego, historia polskiego Leonidasa. Historia polskiego Mazziniego i polskiego Garibaldiego, historia, którą próbowała spisać Marja Zabojecka w „Powieści o Duszy Polskiej“.

Bohaterstwo, bowiem, nie bywa tylko wojskowe. Spotkać się z wrogiem, odepchnąć najazd, ukarać krzywdziciela i najdźdźcę, na tę myśl w wyobraźni każdego miłośnika bohaterstwa wyrastają skrzydła husarzy i czarny pióropusz, i błyskawica strzela z oka — i wołamy Zwycięstwo! Zwycięstwo! Jest inne jeszcze bohaterstwo: mówić prawdę i patrzeć prawdzie w oczy, nazywać rzeczy po imieniu, zdzierać maskę z oblicza komedjantów. Albowiem w życiu społecznem zdarza się, że liczman bywa uważany za szczerą, złotą prawdę, a blagier, tchórzem podszyty, wymachuje szablą z drzewa na kolor stali pomalowaną, wmawiając w ludzi, krzykiem sterozysowanych, że to autentyczna szabla Sobieskiego. Ach! ten bęben cyrkowy, te blaszki i kokardki, te długie szable carskich huzarów dźwięczące po bruku wiekiego miasta! Ach ten złodziej na urzędzie państwowym, któremu dziennikarz, jak to u nas bywało, zdziera maskę z miedzianego czoła, zdziera carskie orderzy i woła na całe społeczeństwo: złodziej, łapownik, oszust! Ludzie nie wierzą. Gotowi potępić śmiałka, który poważa się autorytet instytucji państwowej osłabić, zacnego radcę stanu po-

tępić, ojca rodziny, szlachcica oszkalować. Najemny pismak rzuci się na cię, może i gdzieś z za węgla domu, w pomroku wieczoru kij zdradziecki uderzy cię po plecach. Przydzie chwila, kiedy i pismak zamilknie, kiedy i opinja publiczna wieniec ci złoży zasługi. Bohater, kto odważy się iść przeciwko tchórzom i przeciwko bezładowi gromady ludzkiej, kto nie zważa na prawa zdobyte, uznane, herbową okryte pieczęcią.

Zacny pijar ksiądz Krupiński lubił opowiadać, że kiedy w Wielkim Sejmie Butrynowicz i przyjaciele jego, zabierali głos w przedmiocie uporządkowania i reformy sprawy żydowskiej, tłum szlachecki wołał: „wziął od żydów pieniądze“. A gdy mówił kto przeciwko żydom, przeciwko reformie, wołano: „chce od żydów pieniędzy“. Butrymowicz, zacny poseł białoruski, był bohaterem. Nie bał się zgrai głupców, którym zdawało się, że są patryotami. Byli tylko patryotami szerokiego gardła i wąskiej piersi. Patryotami bez rozumu i grabarzami klejnotów, które pogrzebali na stepie Targowicy. Przetrwało bohaterstwo Butrymowiczów i dziś świeci blaskiem niegasnącym, wiecznie żywym poczucia obowiązku narodowego, myśli o narodzie, o jego przyszłości i promienności jego imienia.

Dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek, potrzeba nam kultu bohaterstwa. Prawdziwego, szczerego bohaterstwa. W polu i w domu. Od wschodniej i od zachodniej ściany. Bohaterstwa głębokiego, wytrwałego, klejnotu, który nurek wynosi na powierzchnię świadomości z głębokiego nurtu duszy ludzkiej. Nie liczmanu, surogatu złotą albo pereł, nie pustych, bez echa przemijających słów, ale bohaterstwa wojskowego i głębokiego czynu, co poczyna się z krwi serdecznej, z zapomnienia o sobie, o swojej ambicji i pyrze, co początek bierze w miłości i całe jest miłością ogółu, zbiorowości, Ojczyzny. Co słucha rozkazów Wodza i sumienia, co zdziera maski obłudne, depcze puste baloniki frazeologii okolicz

nościowej. Co staje jasne, promienne i woła: jestem! Gdzie praca najcięższa — tam pójdę! Gdzie największe niebezpieczeństwo, tam mnie wyślij, Naczelniku!

Takie tylko bohaterstwo znajdzie sobie przyszłego Plutarcha.

List matki do skauta.

Dnia piętnastego lipca 1920 r.

Kochany mój synu! Jutro opuścisz na długo, może na zawsze, mnie i rodzeństwo swoje. Idziesz na front. Płakałam długo, długo owej nocy, kiedy zdecydowaliśmy, że ci przeszkadzać nie będziemy w spełnieniu zamiaru, który był dla ciebie obowiązkiem. Nie widziałeś moich łez. Chociaż jestem matką twoją, to jednak jestem obywatelką tego kraju. Kocham ojczyznę naszą. Obowiązek twój jest i dla mnie obowiązkiem. I ten obowiązek jest dla mnie bardziej jeszcze świętym niż uczucia, jakie żywię dla ciebie. A co to znaczy, dość powiedzieć, że jesteś moim dzieckiem, że nosiłam cię pod sercem długich kilka miesięcy, zanim na świat wyrzuciłam, że ciężko odchorowałam twoje narodziny, że spędzałam nad twoją kołyską długie i niezliczone noce, zanim cię odchowałam; cieszyłam się twoją radością i płakałam, gdy bywałeś chory. Drżałam, gdyś ciężko chorował i lekarze obawiali się o życie twoje. Dziecko kochane! Ty wiedzieć nie możesz, co to jest uczucie matki dla dziecka. A jednak dziś daję ci swoje błogosławieństwo na drogę obowiązku. Idź tam, gdzie cię serce woła, dokąd cię sumienie prowadzi! Serce matki będzie

czem. Kielznej w sobie wszystkie podszepty nadużywania władzy, wszystką pychę, wszelką samowolę. Pamiętaj, że powołaniem twojem jest Ofiara. Aby zaś ofiara ta była skuteczna trzeba wiary: wiary w Ojczyznę, wiary w przyszłość, wiary w człowieka. Nie dosyć jest wierzyć w Ojczyznę, trzeba jeszcze wyrabiać w sobie wolę ofiarną: wolę nie tylko najlepszą, ale i mocną, żelazną, bezwzględną wolę.

Wiara często jest wystawiona na szwank. Byle jakie niepowodzenie zasypuje jej źródła. Nie wolno nigdy poddawać się zwątpieniu. Trzeba wierzyć w przyszłość narodu, który tak dawno już istnieje, tak piękne miał karty w swojej przeszłości. Trzeba ufać, że w chwili obecnej wyjdzie zwycięsko z potrzebą, którą los zgłotował. Trzeba ufać w jego przyszłość. Ten naród przetrwał półtora wieku niewoli. Przetrwał i wytrwał. Nie dał się ani Niemcom od zachodu, ani Rosjanom od wschodu. Nie da się. Wyzwoli się w ciężkim trudzie do Wolności. Najwyższy to trud, jaki przyświeca człowiekowi w historii i zbiorowo, jako narodowi, i indywidualnie, jako jednostce. Zdobędzie warunki wolnego rozwoju. „Nie damy ziemi, skąd nasz ród...“, jak śpiewa wielka poetka. Ale i siebie indywidualnie wyzwoli od przywar, od instynktów, od barbarzyństwa niewolnika. Na to czasu potrzeba. To prawda. Ale życie tak bardzo napięte, jak życie czasu wojny, skraca ten czas ogromnie. Miesiące liczą się na froncie za lata, dni za miesiące, chwile za tygodnie. Żołnierz zapomina się i kradnie, rabuje, krzywdzi chłopą, żyda, kobietę. Zdarza się, że żałuje krzywdy, którą wyrządził. Twoją jest rzeczą, aby żałował, aby nie krzywdził, aby zdobył poczucie krzywdy, którą wyrządził. Często nie wie co czyni. Tak rozumie — wolność, którą mu daje życie wśród niebezpieczeństw, w obliczu śmierci.

Czuwaj nad nim, aby inaczej wolność rozumiał, aby miał żywe poczucie krzywdy, aby żyło w nim sumienie. Często zda-

rzy się, że twoje najlepsze starania doznają zawodu. Niechaj nigdy nie opadają ręce. Nie trzeba wątpić o przyszłości ludu. Szanuj go i zbudzisz w nim szacunek dla siebie, dla bliźniego, dla człowieka. Szanuj liczbę.

W chwili wielkiej próby liczba, mnogość, tłum cierpi najwięcej dlatego, że jest mnogością. To tłum przecie, liczba ilość — idzie do ataku, to tłum, ilość, liczba — kładzie się pokotem na pobojułsku. Ten tłum bezimienny leży w okopie, trwa w ciągu długich miesięcy, myli się, popełnia głupstwa, a niekiedy i zbrodnie — mimo wszystko, nie wątp o nim, to pierwszy warunek jego uzdrowienia i wychowania.

Umiesz więcej niż on, umiesz rozumować. Żyje w tobie cud największy: Myśl, a on żyje odruchem i instynktem. Trzeba, aby i w nim Myśl żyła. Czytaliśmy zeszłej zimy razem opisy wielkiej i strasznej wojny na froncie francuskim, w Ameryce. Żołnierz francuski myśli, rozumuje. Dlatego wytrwał cztery lata cierpiąc katusze. W Ameryce, pamiętasz. Czerwony krzyż liczył dwadzieścia milionów członków (na sto dziesięć milionów mieszkańców): każda rodzina rozrzucona po tym olbrzymim kontynencie płaciła podatek, zносиła ofiary; każde stowarzyszenie, każda szkoła pracowała dla Czerwonego Krzyża. W pewnej chwili wybuchł strejk. Zdawało się, że cała wyprawa europejska w łeb weźmie. Stawały fabryki, dziesiątki, setki fabryk, pracujących dla armji. Zorganizowano wtedy kampanję odczytów, setki, tyciące odczytów w każdym mieście, w każdej wiosce fabrycznej. Zmobilizowano całą armię prelegentów. Strejki ustały. Produkcja wzmożła się nadzwyczajnie. Z Ameryki przeprawili do Europy milion żołnierzy co zdecydowało o wygranej i okryło żołnierza amerykańskiego sławą nieśmiertelną. Lud pracujący zrozumiał. I fabrykant zrozumiał. Trzeba, żeby i w naszym żołnierzu Myśl żyła, aby i on zrozumiał, po co się bije, dla jakiej sprawy, dla

jakich celów. Żołnierz nie jest karabin. To człowiek. To człowiek wielkiej gromady, znanej narodem.

Trzeba, by myśl w nim żyła, i dlatego jeszcze by żyła w nim Wola. Wola słuchania rozkazu, wola najlepszego spełnienia obowiązku, wola zwycięstwa, wola zbudowania ojczyzny, wola wolności. Ojczyzna będzie taką, jaką ją obywatel zbuduje. To dzieło zbiorowego człowieka więcej jeszcze, niż dzieło szczęścia. Trzeba ją budować co dnia, aby żyła, trzeba co dnia zdobywać, aby trwała. Nie jest to dzieło jednego pokolenia, ale każde pokolenie musi w znoju, w trudzie, w męce pracować, aby żyła i aby trwała.

Dziecko moje kochane! Wiem, że tak samo myślisz, jak ja tutaj piszę. Mimo to daję ci to słowo na drogę. Wiem, jaki ze słów moich uczynisz użytek. Gdy zakradnie się do ciebie, do duszy twojej wróg najstraszniejszy. — Zwątpienie, odczytaj list mój, pomyśl o nas, którzy cię tak bardzo kochamy. Precz odejdzie słabość, zwątpienie. Wiem, dziecko, że jak Jakób biblijny będziesz nieraz zmagać się z Aniołem, ale zwyciężysz w sobie wszystko co jest słabością, małością, małodusznością. Zwyciężysz Anioła. Wejdiesz na sam szczyt drabiny niebieskiej.

Bądź zdrow, synu kochany! Najśłodsze pieścizny daję ci na drogę. Wszystko co we mnie jest miłością, radością, uśmiechem kładę w twoje serce, w twoje serce, w twoje dobre, pocziwe oczy. Myśli moje, dusza moja z tobą będzie, przy tobie będzie dziś i zawsze.

Matka twoja tu i wszędzie.

Marja.

Plemię Ikarowe.

Lotniku polski! Polski Guynemerze! Dokąd zapędzą cię losy? Zachciało ci się być Ikarem greckim?

Zachciało ci się sprawdzić, czy mówili prawdę Grecy, gdy opowiadali, że Ikar, syn Dedala zbudował skrzydła ptasim podobne, że je woskiem do pleców przyczepił i że fruwał swobodnie w powietrzu ale zbyt śmiały zanadto zbliżył się do słońca: wosk stopniał, skrzydła odpadły i biedny Ikar syn Dedalowy zginął...?

Chciałeś niebo przebić ostrzem ptaka twego i u słońca zapalić nową pochodnię Prawdy? Chciałeś widzieć, czego nasze nie widzą oczy, chciałeś słyszeć orłów rozmowy i obłoków samotne gonitwy, chciałeś tajemnice posiąść burzy i pogody, Boreasza podpatrzyć złośliwość i Apollina się rydwanowi pokłonić.

W imieniu Polski!

Nie pytałeś czy ptak twój mocny, czy wytrzyma drogę. Cudzoziemiec ostrzegał: nie jedź, twój motor zepsuty, zużyty, zmęczony. On nie pojechałby, gdyby był tobą. Nie pytałeś. Może miał słuszność ów cudzoziemiec, który tylko rozumu pyta o rady i wątplenie rozsiewa przy pomocy logiki i tabliczki mnożenia. Ty byłeś rodem z „Ody do Młodości“. Ledwoś mówić umiał, już śmiałeś się z rozumu i płynąłeś tam „kiedy wzrok nie sięga“. Siadłeś tedy. Uważałbyś siebie za tchórza i za zdrajcę, gdybyś był posłuchał cudzoziemskiego instruktora. Poleciałeś. Kazali ci badać teren, szukać wroga, nosić rozkazy, bić się z nieprzyjacielem w powietrzu i na ziemi. Nie pytałeś o zmęczenie, byłeś wszyskciem, czem los kazał: pilotem, wywiadowcą, śmierć niosłeś i zniszczenie. Potykałeś się z silniejszym od siebie prze-

ciwnikiem. Miałeś przeciwko sobie niemieckie, jakże silne i doświadczone gołąbki czarno-białe! Nie dałeś się. Zatrąkli ci pilota. Zająłeś jego miejsce.

Aż przyszła chwila, kiedy motor twój działać przestał. Runąłeś i nie stało cię.

Chciałeś być równym Guynemer'owi. Ten młodzieniec zginął na froncie francuskim, licząc lat dwadzieścia i jeden. Miał dwa lata służby za sobą. Miał w liście służby pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt zniszczonych, strąconych aeroplanów niemieckich. Miał sławę najpierwszego bohatera nie tylko wśród swoich ale i u wroga. Miał piersi pokryte wszystkimi odznaczeniami wszystkich armii zjednoczonych. Wróg szanował go i pisał o nim hymny pochwalne. Był to cichy, zamknięty w sobie, skromny chłopiec, bożyszcze rodziny, jedyny syn starego już ojca. Wiedział co go czeka. Rzadki był ten lotnik, któryby nie wiedział, że o życiu swoim tyle wie tylko, że je w każdej chwili stracić może. Szedł na każdą wyprawę jak na bał. Szedł zwyciężać. Wiedział, że i śmierć jego tylko zwycięstwem będzie. Pewnego dnia zginął nad brzegiem belgijskiego morza, ślepą ugodzony kulą. Jeden ze znakomitych pisarzy francuskich stał się jego biografem.

Ty nie będziesz miał biografa. Pochowano cię w ziemi od wroga zajętej. Kto wie czy grób twój odszuka matka, która cię ojczyźnie dała. Która cię rodziła, pieściła, hodowała, dała ci serce czujące i rozum i wolę. I gdyś już był odchowany, w całej pełni zdrowia, w całej krasie cnoty młodzieńczej odwagi i szczerości i przywiązania do dobrej sprawy i wierności raz ślubowanym przyrzeczeniom — poszedłeś. Dokończyła twego wychowania obywatelskiego sławna kompania rycerska P. O. W. W sercu miałeś te litery i obraz więźnia, co pruskie w Magdeburgu dźwigał kajdany.

Przyszło Wyzwolenie Narodu a dla ciebie, młodzieniaszku, zaczęła się służba w szeregu. Poszedłeś. Po sześciu miesiącach byłeś już oficerem.

Zostałeś czem byłeś. Nie jadła się pycha, ani nęciła swawola. Nie należałeś do zawadjackiej karcianej kompanji. Uczyłeś się i ćwiczyłeś siebie i swego ptaka. Poznałeś jego budowę: jego anatomję, jego fizjologję. Zdawało ci się, żeś jego duszy poznał tajemnice. Nosił cię ku przestworzom poprzez zwały chmur „kiedy ludzka myśl nie sięga“.

Gdy wracałeś z karkołomnej wyprawy, tyle radości biło z oczu twoich, że najbliższym wydawało się, iżś Boga samego oglądał. Nieba widocznie mówiły ci, abyś trwał dalej, posłuszny rozkazom wodza i sumienia własnego.

Dziś nie mamy ani ciebie ani ptaka twego. I jego i twoja tajemnica spoczęły w dalekiej ziemi. Może porzuciły to, co w tobie było śmiertelne i zawisły nad nami w obłoku różowym, co ku zwycięskim nas prowadzi brzegom?

Może z tej wielkiej miłości, która była powietrzem duszy twojej, a którą promieniowałeś wokół na towarzyszków i podwładnych; wyrośnie inny podobny tobie syn Dedalowy? Może nie zginie z tobą twoja tajemnica?

Lotniku Polski! Ikarowy potomku, co u Słońca zapalać chciałeś polską pochodnię zwycięstwa!

Ranni żołnierze.

Nowym Światem tramwaj sunie. Ludzie przystają: to rannych wiozą. Dwa wozy, a za nimi dwa jeszcze. Ranni leżą kilku warstwami, jak na statku morskim. Stoją między nimi sanitariuszki. Przodem lekarz jedzie. Ludzie stają, i gdy patrzą, zastyga na obliczach wyraz podniecenia wesołego, jaki na twarzach tłumu budzi ulica wielkiego miasta! Budzi się w tych obliczach ciekawość, następnie współczucie, następnie i strach. A może to mój syn, a może siostrzeniec? I niejedne usta układają się tak, jakby wołać zamierzały: „Janek!“ „Paweł!“ „Jerzy!“.

Niektórzy żołnierze siedzą i uśmiechają się do przechodniów. Widać, że są ranni lekko i że po kilku dniach wrócą do szeregów. Inni leżą, oczy zamknięte, twarz w gorączce. Ilu z nich wróci do życia? do rodzin? do pracy?

Ci młodzi ludzie ledwie do pełnego obudzili się życia i już albo zupełnie od życia odejdą, albo ochromieni, połamani, bez ręki czy bez nogi, czy niewidomi zgoła do tego życia wrócą! Najstraszniejszy chyba jest los nlewidomych. Pamiętam, jak widziałem w szpitalu oftalmicznym na sali siedzących rzędem w liczbie kilkudziesięciu żołnierzy, którzy wzrok na froncie stracili. Niektórzy byli zupełnie ślepi. Inni odbierali jeszcze wrażenia świetlne. Ci ostatni mieli wszyscy twarze zwrócone do światła. Ustawiali oczy tak, aby jaknajwięcej przez szczeliny powiek mogło się tego słońca życiodajnego do oczu przedostać. Na twarzy czytać można było niepokój, okrutny wyraz strachu, który przez mózg przebiegał: a jeżeli jestem naprawdę ślepy! Przeważnie jednak ślepi łudzili się, łudzą się do ostatka. Lekarz ich pociesza, jak umie, a na

stronie do nas mówi: „wszystko nadaremnie, żaden z nich więcej świata bożego nie zobaczy“.

„Świata bożego nie zobaczy!“ Ludzie, którzy stajecie na Nowym Świecie i przyglądacie się wozom, prowadzącym rannych z pola walki do szpitala, czy zdajecie sobie sprawę z grozy tych słów? Już niema dla nich słońca, ani radości, która od słońca do nas idzie. Kwiaty dla nich nie kwitną, przestaje dla nich istnieć sztuka plastyczna, nie widzą więcej najbliższych ich sercu ludzi. Cały stosunek ich do świata ulega przeobrażeniu. Ręka, dotyk, powonienie zastąpić im musi to, co im wojna zabrała, cud bezcenny, jakim jest oko, patrzenie, widzenie ludzkie. Wielki uczony twierdził wprawdzie, że oko ludzkie to aparat fizyczny, nie wiele jest warte, i on aparatu tak niedbale zbudowanego, nie przyjąłby od optyka, ale gdy oka niema, gdy oczy nie widzą, przekonywamy się dowodnie, że to aparat cudowny. Nie móc „widzieć“, jak własne rośnie dziecko, jak rozwija się pączek róży na krzaku, jak ptaszek wygląda, który w tej chwili świergoce na gałązce bzu, co pod naszym rośnie oknem, co za nieszczęście!

A gdy jeszcze nieszczęście to godzi w człowieka samotnego, w człowieka bez wielkich środków, człowieka pracy! Być skazanym na to, żeby nigdy nie mieć nikogo bliskiego, coby słuchał skarg naszych, albo wynurzeń radosnych, czuć stale koło siebie chłód i obojętność bliskich, albo być chorym poprostu i nie umieć zaradzić potrzebom ciała — to rozpacz, stanowczo rozpacz!

Obowiązek społeczeństwa wobec takich rannych jest bezgranicznie wielki... Czy myślimy o nich? Czy zapobiegamy potrzebom? Czy przewidzieliśmy, że będzie trzeba uczyć niewidomych, aby im sztucznie chociażby stworzyć źródła radości życia, dać książkę, systemem Braille'a drukowaną i niejedną; uczyć rzemiosł i różnych, aby do walki życiowej ich przygotować?

Na Zachodzie uczyniono pod tym względem olbrzymie w czasie wojny postępy. Zorganizowano roboty dla rannych, olbrzymie instytucje, które usługi oddały bez miary. Burmistrz Lyonu, deputowany E. Herriot, położył pod tym względem zasługi olbrzymie. Z tej szkoły wyszły zastępy całe rzemieślników, mogących pracować, pomimo, że rąk, nóg, oczu są pozbawieni. Wymyślono przedziwne aparaty, zastępujące ręce, nogi. Po kilku miesiącach człowiek, zdawało się, stracony, odżywał, uśmiechał się, zapominał o kalectwie. Zaczynał pracować. Zdobywał niezależność.

Obowiązki nasze wobec tych braci naszych są niewyczerpane. Czy myślimy o nich? Czy gromadzimy dla nich środki? Zbierano u nas na gwiazdkę, na święcone, na kuchnie, na kantyny dla żołnierzy i wogóle zbierano dla żołnierzy na froncie. Zbierały setki, może tysiące pań i panienek. Musi przecież być jakaś kontrola funduszków, które tą drogą sączyły się z sakiewek całego społeczeństwa do jednego rezerwoaru? Nigdy nie czytaliśmy wykazu sum, które zebrano i wydatkowano. Czy zbierają u nas na rannych? Czy istnieją stowarzyszenia kobiet, opiekujących się rannym żołnierzem i wtedy, kiedy jest w szpitalu, i co ważniejsza, wtedy, kiedy ze szpitala wychodzi? Zakładajmy i to jaknajprędzej takie stowarzyszenia. Zapisujmy mieszkania tych, co porzucili Warszawę, dobre, piękne mieszkania, w których szkołę, przytułek dla rannych założyć jest poprostu wskazane. Opodatkujmy, kogo można, od siebie poczynając, dla tego znakomitego celu. Niechaj żołnierz wie, że gdy życie dla narodu dawał i gdy dziś ustąpić musi z pola walki, ten naród jest za nim, o nim pamięta, opiekuje się jego chorobą, jego kalectwem, jego rodziną. Niechaj wie, gdy do szeregu staje, że to naród go do boju posyła, że Ojczyzna, to matka, która i ranę opatrzy, i do łona przytuli, a nie macocha, co powie chromemu: „Pan Bóg opatrzy! Spełniłeś swój obowiązek!“ Egoizm ludzki jest bez miary i bez granic. Nie po-

zwólm, aby mógł w tej sprawie wyraz swój znaleźć. Wołajmy, agitujmy, piętnujmy!

Tym wozem tramwajowym, który przed oczyma naszymi sunie, nie tylko ranni jadą żołnierze. To Sumienie sunie narodu! To zwierciadło naszej cnoty i naszego grzechu! To bodziec do czynu, albo do występnej obojętności!

Jakże posyłać robotnika na front, jakże żądać od niego ofiary i spełnienia obowiązku, który życie samo, jako ofiarę obejmuje, jeżeli ogół nie poczuwa się nawet do obowiązku niesienia pomocy, która w sakiewkę uderza. Panowie paskarze! Szlachetni paskarze, spijający mazagran w modnej kawiarni — za każdy czerwony duży papierek, przekazany usługującemu wam obywatelowi, żądamy równej wartości papierka dla rannych z pod Radzimina, Miłosny, Garwolina, Modlina i Dębina! Dzięki tym rannym ożywcza wilgoć mazagranu chłodzi i podnieca zarazem wyrafinowane podniebienie wasze! Gdyby nie oni, nie byłoby pugilaresów waszych, nie byłoby nawet waszego podniebienia!

Niechaj ulica w pokorze pochyli głowę. To Ranni naszej Wielkiej Wojny suną pod Łukiem Tryumfalnym zasługi — do szpitala!

Śmierć żołnierza.

Ulicą wielkiego miasta ciągnie kondukt żałobny. Dwa białe konie, karawan naprędcy skłębony, kilku żołnierzy, parę kucyków, trochę wyrostków. Ludzie, uchylając kapeluszy mówią: to żołnierz. Przystają na chwilę, nie jeden schodzi z chodnika, przyłącza się do konduktu i towarzyszy mu stając.

Karawan, postępując, posuwa się naprzód poprzez nieskończone ullice wielkiego miasta. Mija campo santo Powązek, wyjeżdża za miasto, mija osadę Powązki i u jej rubieży zatrzymuje się. Tu cmentarz wojskowy. W szczerym piasku rosną drzewa i rzędem ułożone sterczą z piasku sklecone sarkofagi. To mogiłki żołnierzy. To cała historia wielkiej wojny w tym kraju rozegrana. Leżą obok siebie Rosjanie, Niemcy, Polacy, Czesi i Rusini. Dziś chowają tu tylko Polaków, ofiary i bohaterów wielkiej wojny. Wiele mogilek nie ma już krzyżów, nie ma nazwiska, ani znaku na nich.

Kto jesteś żołnierzu, któremu towarzyszyłem dziś na miejscu ostatniego twego wypoczynku? Skąd byłeś rodem? Ze wsi? Z miasta? Wieśniakiem byłeś, czy mieszczaninem? Kujawiakiem byłeś czy Mazurem, Góralem czy Litwinem? Jaką mówiłeś gwara? Do jakiego uczęszczałeś kościoła? Jakie pieściłeś ideały? Kochałeś? Cierpieałeś? Wierzyłeś?

Żyłeś na wsi w przeważającej liczbie. Pasałeś za młodu gęsi czy nierogaciznę. Później na posyłki służyłeś we dworze. Może umiałeś czytać? Niekiedy bywałeś z matką w kościele. Niekiedy z ojcem na jarmarku w osadzie. Mijały lata w ciężkiej pracy, dni bez zmiany do siebie, niby ziarenka piasku podobne. Dochodziły do ciebie z miasta odgłosy walk o lepsze jutro; namawiano cię, abyś przystał do organizacji, bywałeś na zebraniach. Mówcy, przybyli z wielkiego miasta mówili do ciebie o rzeczach dalekich a pięknych. Zdawało ci się nieraz, że otwiera się nad tobą niebo i aniołowie schodzić z lazuru poczynają i zacznie się od jutra niebo na ziemi: ludzie kochać się zaczną, będą sobie braćmi a nie wilkami; wszyscy będą syci i wszyscy uśmiechnięci; wszyscy też będą równi; wszyscy czczeni. Nie będzie ani dziedziców ani chamów. Nie będzie ekonomskiego batoga ani wymysłów.

Po takich mowach chodziłeś senny i radosny. Chciałeś do miasta iść, bo z miasta przybywali ci mówcy kochani, co cuda w lazurowym schowane całunie jawili oczom twoim, co obłoki różowe, znane tylko skowronkom albo jastrzębiom — na głowę twoją sprowadzali.

W mieście bywałeś robotnikiem. Ciężki zbiorowy trud. Walka o kawałek chleba, o lepszą zapłatę, o krótszy dzień roboczy. W mieście widziałeś już nietylko ludzi, których znałeś od kolebki. Nie znałeś ich imion, ani nazwisk ani przezwisk. Nie wszyscy mówili twoją gwarą. Mówili inaczej. Wymowa ich była inna, a nieraz i język zgoła inny. Było ci obco. Przywykałeś powoli. Mówili ci: ja z Włocławka, ja — Ślązak, ja Podlasiak, ja z unitów, ja byłem w carskiej turmie, ja na Syberji. Nie mały to był trud, aż zrozumiałeś, że to wszystko byli bracia i że oni wszyscy jednej ziemi dzieci — Polacy.

Przyszła wojna. Wołali. Poszedłeś. W wojsku spotkałeś znowu i tych z Włocławka i tych z Pińczowa, i tych z Siedlec i tych z Poznania i tych z Suwałk, i tych z Krakowa i Lwowa i tych nawet w Ameryce urodzonych.

To Polska.

Rozwarły ci się oczy. Jest tedy coś więcej niż Wola Łobudzka czy Świder, czy Gromadzyn. Jest coś więcej niż gmina, niż powiat niż województwo. Jest polska. Jest coś więcej, niż parafia, niż miasto, niż największe w Polsce miasto: jest Ojczyzna. I tu w wojsku trzeba sztandaru Ojczyzny bronić nie dlatego, że wołają, że tak każe oficer, ale z czystego serca.

Teraz po raz trzeci, tu, na tym podmiejskim cmentarzu spotkałeś znowu ojczyźniaków. Leżą pospołu, wszyscy razem. Wstydu nie przynieśli sztandarowi ani hasłu, które każe „kości

położyć za braci swoich“. Oddali, co mieli najśłodszego: życie. Oddali je za swoich, za matkę, za braci, za tych, co po nich przyjdą, za wolną i szczęśliwą Ojczyznę, za nowe czasy co idą.

Bądź pochwalony, żołnierzu!

Nie zapomni o tobie Ojczyzna. Nie zapomniała o Kościszce, o rycerzach z pod Baru, o Łukasimskim, o tych z trzydziestego i z sześćdziesiątego trzeciego i z dziewięćset piątego roku, nie zapomniała o kościach bielejących na tej nieskończonej drodze, która ciągnie się od Sachalinu aż po Paryż, poprzez całą długość dwu części świata. I te kości bielejące na nieskończonej drodze Męki zbiorowej to świadectwo walki o Wolność, o niepodległość narodu, o lepsze jutro w wolności i braterstwie.

Rozdarta na trzy części, jedna w ciągu stu lat niewoli załedwie w sercu i mowie Poety — Ojczyzna w całości swojej pod twoim znalazła się sztandarem. Tu — znaleźli się i ci z pod Gniezna i ci z pod Krakowa i ci z pod Warszawy. Różne gwary, różne sposoby myślenia, różne charaktery — w tym tyglu zrosnąć się musiały, aby znowu i nowa zgoła wyrosła nam Ojczyzna. I teraz wyjść musiałeś w pole, aby jej bronić i dziś w grobie spocząłeś, aby zaświadczyć, że chciałeś, by była i że ona będzie.

Kiedyś wielki Francuz Jan Jaures opowiadał, jak Wielka Rewolucja francuska stworzyła Francuzów. Przed tą wielką, bowiem, datą, w dziejach świata byli tylko Burgundowie i Gaskończycy i Bretonowie i Normandowie, było sto ludów na ziemi francuskiej zamieszkających. Rewolucja chwyciła te zróżnicowane typy ludzkie i niby winne grona z różnych stron zebrane do jednej wcisnęła beczki. Zniknęły różnice. Z tych cech przeróżnych powstał nowy typ Francuza, co śpiewając Marsyljanekę nieśmiertelny śpiew Wolności i Postępu szedł samotrzeć na armje Fryderyka Wielkiego i Marji Teresy. Nietylko nowy żołnierz, jakiego nie znała dawna monarchja Ludwików, ale nowy czło-

wiek obywatel co nie króla szedł bronić, nie dworu, nie korony i nie przywilejów, ale szedł bronić Wolności, Równości, Braterstwa, nowej prawdy dziejowej, której narodziny widział wielki poeta niemiecki, co przepowiadał, że z bitwy pod Valmy nowy się narodzi i świat i porządek.

Nie żyłeś nadaremnie, żołnierzu, którego chowaliśmy dzisiaj na dalekim krańcu Warszawy! Wołałeś nietylko wolnej ale i nowej Ojczyzny. Rodzi się i wolna i nowa, w męce, jak wszystko wielkie i piękne na tym świecie, który krwią twoją zroszony zakwitnie nowym kwiatem Odrodzenia.



